

MOJE ZDZIWIENIA

Henryk Markiewicz

Co się dzieje w IBL?

Przez wiele lat pracowałem w Instytucie Badań Literackich PAN, redagowałem jego wydawnictwa, należałem do Rady Naukowej (formalnie należę do niej nadal). Dziś jest to już przeszłość, nadal jednak interesuje mnie i obchodzi to, co dzieje się w IBL, tym bardziej że nastąpiła w nim zmiana kierownictwa, która zarazem jest zmianą pokoleniową: dyrektorem został doc. dr hab. Mikołaj Sokołowski, jego zastępczyniami doc. dr hab. Dorota Siwicka i dr Dorota Krawczyńska. Sokołowski i Siwicka zajmują się literaturą romantyczną, Krawczyńska – literaturą współczesną, zwłaszcza odbiciem w niej Zagłady.

Nowa dyrekcja życzliwie udostępniła mi materiały informacyjne o działalności Instytutu w ostatnich latach oraz plan zmian w jego funkcjonowaniu w związku z wejściem w życie Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki. Wrażeniami z lektury tych dokumentów chciałbym się podzielić z czytelnikami „Wielogłosu”, a za jego pośrednictwem – także z kierownictwem IBL.

Na wstępie owego planu dyrekcja deklaruje, że Instytut zajmuje się pewnym działem humanistyki, traktowanej nie jako refleksja o najistotniejszych kwestiach egzystencjalnych, lecz jako nauka. Jednocześnie przypomina, że tak rozumiana humanistyka staje się gałęzią przemysłu; chodzi tu o takie prace humanistyczne, które „wymuszają np. rozwój technologii informatycznych i internetowych” i „zapewniają szybki (natychmiastowy), ogólnodostępny i masowy dostęp do wyników badań”. (Tak napisano, ale chodzi zapewne o oddziaływanie odwrotne – o to, że rozwój owych technologii stymuluje przemiany w badaniach humanistycznych). Poprzez obecność w internecie IBL realizować ma priorytetowe dla swej dziedziny zadania. Jakież to zadania? Sprawozdanie za rok 2009 jest, niestety, niezbyt przejrzyste, skonstruowane inaczej niż sprawozdanie za rok 2008, może więc w szczegółach coś poplątałem, nie sądzę jednak, by te pomyłki zniekształcały obraz całości.

Na czoło swej działalności i sprawozdanie, i plan wysuwają „duże projekty badawcze, realizowane przez IBL wspólnie z innymi instytucjami naukowymi-

mi”’. Są to: *Elektroniczne archiwum zabytków piśmiennictwa polskiego do roku 1660* oraz *Rozpad i nowy porządek: społeczeństwo – naród – kultura w okresie wielkiej zmiany* (tu IBL przypadło w udziale zadanie *Literatura i kultura wobec przemian tożsamości narodowej*). Dalej idzie również dla internetu przeznaczony własny projekt badawczo-edukacyjny *Panorama literatury polskiej* (mówiąc w uproszczeniu – ma to być multimedialny, scalony i rozszerzony odpowiednik przewodnika encyklopedycznego *Literatura polska*, a także słowników literatury kolejnych epok z serii *Vademecum polonisty*). Pierwszy i trzeci z tych projektów znajduje się w fazie przygotowawczej, drugi – nie został pomyślnie zrealizowany, skoro zespół IBL z ośmiu zamierzonych tekstów dostarczył tylko trzy, a prace zespołu są już zakończone.

W opracowaniu *Zmiany w funkcjonowaniu IBL* wyeksponowany został jako pionierski projekt *Sensualność w kulturze polskiej. Przedstawienie zmysłów człowieka w języku, piśmiennictwie i sztuce od średniowiecza do współczesności*, ale w sprawozdaniu za rok 2009 nie ma o nim nawet wzmianki. *Atlas romantyzmu polskiego*, omówiony obszernie w sprawozdaniu za rok 2008 jako jeden z „dużych projektów badawczych”, tu jest ledwie wymieniony wśród projektów własnych. *Słownik polskiej krytyki literackiej – wiek XIX* – w ogóle zniknął. Do przyszłości należy projekt *Edytorstwo naukowe. Tekst – książka – internet*.

Zakończone zostały i ukazą się w formie książkowej: monografia zbiorowa *Literatura polska wobec Zagłady (1939–1968)* i *Czasopisma społeczno-kulturalne w okresie PRL*. Oddany też został do druku tom studiów *Twórca – dzieło – tekst jako przedmiot filologiczny*, stanowiący część (dość workowatego) projektu badawczego zatytułowanego *Humanizm. Idee, nurty i paradygmaty humanistyczne* (nazywam go „workowatym”, bo mieszczą się w nim np. zarówno tematy antropologii filozoficznej, jak i kwestie ściśle filologiczne).

Tak przedstawiają się plany i prace w toku. Rezultaty finalne za rok 2009 to kilkanaście książek wydanych lub będących na ukończeniu (pomijam tu prace edytorskie, jak np. wydanie poezji Naruszewicza). Góruje w nich staropolszczyzna, słabiej obecny jest romantyzm i współczesność, jedna pozycja dotyczy oświecenia, nie ma prac o pozytywizmie i Młodej Polsce. Podobnie przedstawia się dorobek w roku 2008.

W dziedzinie teorii literatury pojawiają się takie tematy, jak poetyka doświadczenia, semantyka form gatunkowych, teorie dyskursu i narracji, współczesny dyskurs publiczny. Ze sprawozdania trudno jednak niekiedy wywnioskować, które z tych prac zostały zakończone, a które są w toku opracowywania, nadto zaś, jaki jest ich gatunek naukowy (monografia, studium, artykuł?).

Trzeba tu dodać, że w roku 2009 udało się wydać tom 33. monumentalnego *Słownika polszczyzny XVI wieku*.

W roku 2009 odbyło się piętnaście konferencji naukowych zorganizowanych lub współorganizowanych przez Instytut, o ciekawej tematyce – np. kategoria teatralności w mediewistyce, literatura pod presją, geografia Słowackie-

go, europejski kanon literatury, literatura i socjalizm. Niestety, sprawozdania z nich nie były publikowane, a na ogłoszenie referatów *in extenso* trzeba poczekać, zresztą nie wiadomo, czy to nastąpi.

Jak ocenić to wszystko? Uwagi moje będą subiektywne; obawiam się też, że mogą być traktowane jako anachroniczne czy utopijne. Niemniej jednak napiszę szczerze, co śmiem myśleć.

Ze sprawozdań nie można wyciągać wniosków o wartości naukowej zrealizowanych prac. Nie przypominam sobie, by były one recenzowane w periodykach naukowych, w tym – także wydawanych przez IBL. Nie czuję się kompetentny, by sam o tym sądzić. Wydaje mi się, że poziom ten jest wysoki, niezainfekowany wirusami nadinterpretacji i programowego subiektywizmu. Inna rzecz, iż żadna z tych prac nie stała się wydarzeniem naukowym na miarę *Romantyzmu i historii* Janion i Żmigrodzkiej, czy teoretycznych wypowiedzi Sławińskiego – po części zapewne dlatego, że są one poświęcone autorom i sprawom, które na pewno na zbadanie zasługują, ale nie można ich nazwać priorytetowymi (sielanki Gawińskiego, *Historie świeże i niezwyčajne* Michała Jurkowskiego, epigramaty Sarbiewskiego i Inesa).

Sprawozdanie na ogół milczy o tym, co planowano, a nie zostało zrealizowane, lub będzie zrealizowane ze znacznym opóźnieniem. Gorzej, że z dostępnych mi materiałów nie można na ogół wywnioskować, jaka część projektu została wykonana i w jakim terminie zostanie on całkowicie zakończony. Cóż mi np. z informacji, że w roku 2009 przygotowano ponad 180 haseł do *Panoramy*, jeśli nie wiadomo, ile tych haseł ma obejmować całość i kiedy będzie ona gotowa? Sprawozdania nie mówią także o tym, jaka jest wydajność naukowa pracowników IBL i jaki był koszt wyprodukowania w IBL owych prac. Być może pytania te są nietaktowne, ale skoro traktuje się badania literackie jako gałąź przemysłu, wolno takie pytania chyba zadać. Z tego, co pamiętam, w IBL zawsze były imponujące energią twórczą „lokomotywy”, ale także utalentowani eseści, przekonani, że *ad maiora nati sunt*, oraz inteligentne, i sympatyczne improduktywy...

Trzeba więc postawić pytanie, czy produkcja naukowa IBL odpowiada jego statutowym założeniom. W moim rozumieniu – w znacznej części tak. Ale sprawozdanie wymienia również takie tematy, jak wydanie pism Klina (Kaliszewskiego) i Stefanii Zahorskiej, stosunek Kraszewskiego do Rosji, polscy badacze literatury w świecie anglosaskim, Zofia Szymanowska-Lenartowiczowa, Europa Środkowa w myśli Iwana Bibó. Są to, czy będą zapewne, prace wartościowe, ale do wykonania ich IBL nie trzeba.

A teraz o zadaniach, o których nie ma mowy w sprawozdaniach i planach IBL. Nie będę tu przypominał zaniechania niektórych prac, podjętych, a niedokończonych przed rokiem 1989, takich jak choćby zarys encyklopedyczny *Poetyka czy Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku*. Mleko rozlało się zbyt dawno i nie można już tego naprawić. Ale wśród inicjatyw sprzed transformacji ustrojowej były i takie, których kontynuacja jest – moim zdaniem – i możliwa, i potrzebna. Mam tu na myśli dokończenie *Kroniki życia i twórczości*

Adama Mickiewicza (lata 1825–1831) i *Literatury polskiej 1918–1975*, kontynuację antologii *Świadomość literacka w Polsce*, wydań zbiorowych Reja i Kochanowskiego. Nie ukazują się nowe tomy *Archiwum literackiego*. Sądząc z otrzymanych materiałów, IBL milczkiem zrezygnował z tego wszystkiego. Rezygnacja ta jest godna ubolewania, w niektórych przypadkach – bezwzględnie powinna być wycofana.

Nieobecne są w sprawozdaniach i planach IBL opracowania syntetyczne pierwszoplanowe (przynajmniej w dotychczasowym rozumieniu zadań stojących przed polską nauką o literaturze), a dające się zrealizować na ogół tylko zbiorowym wysiłkiem. A przecież nie mamy w pełni aktualnych syntez naukowych niektórych okresów literatury polskiej (książki Ziomka, Hernasa, Klimowicza, także mój *Pozytywizm*, wydane zostały 40 lat temu) ani historii wielu gatunków literackich. To samo powiedzieć można o poetyce teoretycznej, historii krytyki literackiej (poza staropolszczyznę; świetna skądinąd książka Głowińskiego o krytyce młodopolskiej nie jest jej historią¹), historii polskiego literaturoznawstwa XX wieku. Bez Instytutu można bez przeszkód badać twórczość Gawińskiego czy Zahorskiej, ale tylko Instytut może owe syntetyczne przedsięwzięcia realizować. (Brak także nowych monografii twórczości wielkich pisarzy – zarówno ściśle naukowych, jak i na poziomie *haute popularisation*).

Z ogromną wdzięcznością myślę o osiągnięciach IBL w bibliografii – o *Dawnych pisarzach polskich* i *Współczesnych polskich pisarzach i badaczach literatury* oraz niedawno wydanych monograficznych tomach *Nowego Korbuta* (Słowacki, Orzeszkowa), z uznaniem – o planowanym wydawnictwie *Polscy pisarze i badacze literatury przełomu XX i XX wieku*. Zbulwersowany jestem natomiast niefrasobliwością czy rezygnacją, z jaką autorzy sprawozdań informują, że *Polska Bibliografia Literacka*, dostępna w internecie, doprowadzona została tylko do roku 1998 – czyli że brak zapisów bibliograficznych z ostatnich 12 lat! Chciałbym się mylić, ale obawiam się, że to opóźnienie będzie się jeszcze powiększać. Autorzy sprawozdań są dumni, że bazę odwiedza dziennie około 2 do 3 tysięcy użytkowników, ale jakby nie dostrzegają, że takie opóźnienie to sytuacja katastrofalna. I nawet nie wspominają, jak można by je usunąć. Częściowym, lecz ogromnie użytecznym remedium była coroczna *Bibliografia nauki o literaturze polskiej i teorii literatury w Polsce*, ale po ukazaniu się tomów za lata 1993 i 1994 wydawnictwo to przerwano. Dlaczego – trudno zrozumieć.

W takiej sytuacji należałoby do sfery naiwnego marzycielstwa upominanie się o retrospektywną bibliografię polskiej teorii literatury, tematologii, polskich prac o pisarzach obcych. Zaoszczędziłyby one badaczom własnych poszukiwań i czasochłonnych, i z natury rzeczy niekompletnych.

¹ Wyrzekając się tego projektu, równocześnie IBL inicjuje *Słownik krytyki literackiej XIX wieku*. Stara to ułomność IBL – zaczynać z wielkim rozmachem – i nie kończyć, a podejmować nowe przedsięwzięcie o zbliżonym charakterze!

W odpowiedzi na te uwagi usłyszałbym prawdopodobnie, że IBL nie posiada środków do wykonania wymienionych tu dezyderatów bibliograficzno-dokumentacyjnych i nie ma w swym składzie osób, które byłyby zainteresowane opracowaniami syntetycznymi, nudnymi i mozolnymi; być może usłyszałbym także, że w dzisiejszej postmodernistycznej dobie są one niemożliwe do sensownego urzeczywistnienia – i z konieczności trzeba poprzestać na opracowaniach słownikowo-encyklopedycznych. Ale przecież i tutaj syntetyzowania nie można uniknąć, tyle tylko, że są to mikrosyntezy pobieżne i w większej części – by tak rzec – rekonesansowe.

Nie jestem organizatorem nauki i to, co tu napiszę, jest rezultatem myślenia amatorskiego. Otóż jeśli zgodzimy się, że główną racją bytu IBL jest wykonywanie i organizowanie prac bibliograficznych oraz syntetycznych, to trzeba dokonać modyfikacji budżetu IBL tak, by znalazły się owe środki (na prace bibliograficzne wykonawcy na pewno się znajdują), i trzeba poprzez konkurs szukać na zewnątrz autorów chętnych do owych syntez (nie mam pewności, czy dałoby to pozytywne rezultaty, ale próbować trzeba). Na nowe etaty chyba nie można liczyć, więc niestety pracownicy, którzy zadań tych nie mogliby się podjąć – musieliby z posad w IBL zrezygnować (wyjątek trzeba by uczynić dla uczonych bardzo wybitnych i systematycznie pracujących). Oczywiście, należałoby zostawić pewien margines dla indywidualnych zainteresowań pracowników, ale – powiedzmy – 70% produkcji naukowej Instytutu powinno się koncentrować na zadaniach bibliograficznych i syntetycznych. Zdaję sobie sprawę, że brzmi to brutalnie, ale innego wyjścia z impasu nie widzę.

Artykuł ten powtarza po części to, o czym pisałem już kilkakrotnie m.in. w *Liście otwartym do Prezydium Komitetu Nauk o Literaturze Polskiej PAN i do Dyrekcji IBL PAN* („Ruch Literacki” 2000, nr 1) i zawsze bez najmniejszego skutku, nawet bez odpowiedzi (o co zresztą mniejsza). Niech to usprawiedliwi ostry ton niektórych fragmentów tego tekstu. Wątpię, by miał on jakieś praktyczne konsekwencje. Ale przynajmniej *scripsi et salvavi meam conscientiam litterariam*.

By nie kończyć narzekaniem, miałbym dla IBL „skromną propozycję” pozytywną, nietrudną chyba do zrealizowania: wznović w wersji internetowej „Biuletyn Polonistyczny”, który by informował o planach i rezultatach działalności IBL oraz polonistyki uczelnianej, publikował autoreferaty prac doktorskich, a przynajmniej habilitacyjnych, i ich recenzje, zapowiedzi oraz sprawozdania z konferencji naukowych itp. Dzięki temu znacznie więcej i szybciej wiedzielibyśmy o tym, co się w polonistyce literackiej dzieje.

Henryk Markiewicz

Ogrody nieplewione

1.

Mam taki zwyczaj, że przed przeczytaniem książki naukowej, zwłaszcza wielotematycznej, dokładnie ją kartkuję, żeby zapoznać się z nią bliżej i wybrać do lektury tylko interesujące jej fragmenty. Tak postąpiłem także z książką Marii Jolanty Olszewskiej *Drogi nadziei*, mającej podtytuł *Polska proza historyczna z lat 1876–1939 wobec kryzysu kultury*, wydaną nakładem Wydziału Polonistyki UW (Warszawa 2009). Ze wstępu dowiedziałem się, że chodzi tu tylko o pisarstwo uobecniające myśl chrześcijańską, ale mniejsza o to.

Rychło zauważyłem, że korekta książki pozostawia wiele do życzenia – znajdujemy tu np. takie nazwiska, jak Wasal Szujski (318¹), Robespirre (240), Kautschy (57), Maritin (81, 82, 98, 327, 331). Niekiedy zniekształcenia nazwisk są jeszcze drastyczniejsze: zamiast Secrétana występuje Secret (166), dziwaczny Pierre Vergnistud (239) to zapewne Pierre Vergniaud. Błędy pojawiają się również w wyrażeniach obcojęzycznych, np. „veminem captivabus misi iure victim” (318). Wszystko to obciąża nie korektę, lecz autorkę, bo te same błędy występują w sporządzonym przez nią indeksie nazwisk. Do błędów tekstu dodaje on błędy nowe. Pod hasłem „Żółkiewski Stefan” mieści się nie tylko redaktor „Kuźnicy”, ale i siedemnastowieczny hetman. Figurujący tu Lotz otrzymuje imię „Johannes Baptiste”, tymczasem ten Lotz żył w latach 1903–1992, a w tekście mowa o filozofie, z którego poglądami mógł Jeske-Choiński zapoznać się w młodości, więc chodzi tu oczywiście o Rudolfa Lotzego. O Maritainie powinna autorka coś wiedzieć, nie mam jednak pretensji, że nazwisko „Kautsky” nic jej nie mówi, ale umieszczając je w tekście, nie zajrzała do encyklopedii, by sprawdzić, kto to taki.

Za odpowiedzialnością autorki przemawiają różne błędy rzeczowe w tekście. Herder i Aleksander Humboldt są tu autorami *Bildungsroman* (133; Olszewska przekreśliła to, co w tej sprawie pisała Anita Mazur).

¹ Tu i dalej cyfra w nawiasie oznacza stronę.

ma wykłady sorbońskie (128), Feuerbach jest przedstawicielem myśli marksistowskiej (57), Ruskin malarzem (339). *Salammbò* oparta jest na zasadzie kontrastu między światem pogańskim a chrześcijańskim (187), *Antychryst* Renana jest powieścią (187). Autorka nie rozumie tytułów powieści Kraszewskiego, skoro pisze „*Boleszycz*” (w dopełniaczu liczby mnogiej) zamiast „*Boleszyczów*” (111), „w *Luboni*”, zamiast „w *Luboniach*” (122).

Niezrażony tym biorę się do lektury fragmentów książki. Zaczynam od omówienia powieści Jeske-Choińskiego o rewolucji francuskiej (229–263). Trzon tego omówienia to historia owej rewolucji, przy czym nie wiadomo, kiedy mowa jest o faktach opowiedzianych przez powieściopisarza, kiedy o dodatkowych informacjach badaczki. Mieszczą się tu także interpretacje tych wydarzeń – Choińskiego i Olszewskiej (prawie identyczne), ale również innych autorów – dawnych i współczesnych. Powstaje stąd niekiedy taki oto centon (lokalizację bibliograficzną upraszczam):

Rewolucja „odstąpiła brutalność człowieka, uwolnionego spod nadzoru bojaźni bożej” (Jeske-Choiński; w dalszym ciągu J.-Ch.). Zamieniła ludzi w bestie (E. Wnuk-Lipiński). „Ciemny lud zaczyna przewrót polityczny zawsze i wszędzie od burzenia własności posiadających” (J.-Ch.), ale „apetyty wyzwolenców politycznych rosną z dniem każdym” (J.-Ch.). Szybko z *les malheureux* stają się *les enragés* (H. Arendt). To tłumaczy, dlaczego rewolucjoniści tak szybko przekształcili się w „burzycieli, szaleńców i morderców” [tu dłuższy cytat z Marii Janion]. Zatem to „nie idea wolności, nie rewolucja mordowała w końcu, lecz oszalały człowiek-zwierzę walczący z drugim o władzę i pełną miskę” (J.-Ch.).

Sięgam do innego fragmentu, *Warszawa jako miejsce doświadczeń ostatecznych* („*Miecz i łokieć*” Wiktora Gomulickiego a „*Szwedzi w Warszawie*” Walerego Przyborowskiego). Nie będę tu rozpatrywał sensowności tej paraleli ani zaskakujących często sformułowań Olszewskiej, np. „W jego [Gomulickiego] przypadku mamy do czynienia z koncepcją jednostki ludzkiej traktowanej jako splot aksjologiczny: dobra i zła, co pozwoliło pisarzowi wyznaczyć ważny dla ideowego przesłania jego powieści horyzont agatologiczny, w którego ramach dokonuje się wartościowanie powieściowego świata” (378). Albo: „pisarz [Przyborowski] odkrywa piętno tożsamości Warszawy antygermańskiej, antysemickiej, cierpiącej na amnezję rosyjską, patriotyczną i plebejską” (290). Niezrozumiałe jest, dlaczego w tym rozdziale poświęca się wiele stron warszawianistycznej pasji obu autorów i związanym z tym szczegółom. Autorka szczegółowo referuje np. zawartość materiałów do dziejów Warszawy zebranych przez Przyborowskiego. Opowiada też, że Gomulicki stał się pełnoprawnym warszawiakiem dopiero wówczas,

[...] gdy ożenił się ze starszą od siebie wdową, Bronisławą Blum, pochodzącą ze starej rodziny Millerów ze Starego Miasta, która wniosła mu w posagu zrujnowaną kamienicę obejmującą aż pięć numer hipotecznych, 527 i 529 (ulica Podwale), 296 i 300a (ulica Ślepa) oraz 293 (ulica Rycerska). W skład tej posesji wchodziły fragmenty murów staromiejskich, dlatego starożytny duch miasta przenikał przez

mury kamienicy, w której powstała większość powieści i prac historycznych Przyborowskiego, w tym również te poświęcone Warszawie, jej przeszłości i współczesności (281).

I cóż to ma wspólnego z tematyką zapowiedzianą w tytule i wstępie do książki? W moim przekonaniu są to przejawy rażącej nieumiejętności konstruowania dyskursu naukowego.

Innych fragmentów książki nie chciało mi się już czytać.

2.

Tak się złożyło, że wziąłem z kolei do ręki książkę Magdaleny Sadlik „Zawołajcie mnie z powrotem tą moją własną...”. *Z dziejów recepcji twórczości Stanisława Wyspiańskiego 1898–1957* (Kraków 2009, Księgarnia Akademicka). Przekartkowanie jej ujawniło usterki podobne do tych, które znalazłem w książce Olszewskiej. A więc – pomyłki w imionach i nazwiskach: Feliks Płazek nosi tu imię Ferdynand (143), z Wilhelma Barbasza zrobił się dwukrotnie „Barabasz” (a jest to autor jednej z lepszych książek o Wyspiańskim z czasów międzywojennych), pseudonim Victor przypisano Władysławowi Kozickiemu, gdy tymczasem posługiwał się nim Stanisław Kozicki (196). Istnym kuriozum jest kilkukrotne mianowanie Zygmunta Nowakowskiego Janem Zygmuntem (170–171, 198–199). Nie wiadomo, czy pod sugestią binomenu Jakubowskiego czy też z pomieszania emigracyjnego literata z krakowskim polonistą, Janem Nowakowskim.

Znalazło się tu także sporo błędów rzeczowych. Myśl, że „sugerować to ideał” nie pochodzi od Maeterlincka, lecz od Mallarmégo (241). Kazimierz Kaszewski nie był recenzentem „Krytyki” (235). Żeromski nie był obecny na pogrzebie Wyspiańskiego (58). Mylące jest twierdzenie, że Wierzyński ewokował w *Wolności tragicznej* Kraków jako polski Akropolis (113). Aleksander Węgielko w roku 1940 pracował nie we Lwowie, lecz w Białymstoku (153). Bierut nie dawał wyraźnie sformułowanych dyrektyw, jak „przekładać narodowe arcydzieła na język socrealizmu” (166). Zelwerowicz nie mógł reżyserować *Wyzwolenia* w roku 1957, bo zmarł dwa lata wcześniej (173). To nieprawda, że w wypisach lat trzydziestych XX wieku królował niepodzielnie Mickiewicz i autorzy związani z obozem sanacyjnym (275). Mickiewicza było niedużo, a czytanki zamawiano także u autorów takich, jak Zofia Kossak, Adam Grzymała-Siedlecki i Kornel Makuszyński, korzystano również z tekstów Struga czy Rostworowskiego.

Nie świadczą dobrze o orientacji autorki w ówczesnym życiu literackim i naukowym informacje, że Eugeniusz Kucharski to „krytyk literacki dwudziestolecia” (68), Jan Emil Skiński – „krytyk, któremu w młodości nieobce były sympatie prawicowe” (204), Tadeusz Sinko to tylko „przedwojenny znawca antyku” (120), „Myśl Narodowa” to czasopismo sanacyjne (227).

Cytując zdanie Ireny Pannenkowej z lat pięćdziesiątych (autorka nazywa ją „Pannekową”) o Leninie, który nie zmarnował złotego rogu (21) – Sadlik nie zdaje sobie sprawy, że pisze to niegdyś wybitna publicystka endecka, mająca wówczas lat blisko 80. Na jednej płaszczyźnie umieszcza wypowiedzi autorytetów i osób zupełnie nieznanymi; zestawia np. Artura Górskiego i niejakiego J. Seifla, publikującego swój wierszyk w „Kuźni Młodych” (75).

We wstępie nazywa swą książkę „próbą stworzenia panoramicznego ujęcia dziejów recepcji [Wyspiańskiego] i uchwycenia prawidłowości, mechanizmów nią rządzących”. Nie sposób się z tym zgodzić, skoro zabrakło tu omówienia tego, co w piśmiennictwie o Wyspiańskim najbardziej wartościowe – tekstów Lacka, Brzozowskiego, Ortwina, Irzykowskiego (poza *Czynem i słowem*), a przede wszystkim całej dziedziny prac historycznoliterackich. Jest to książka o recepcji twórczości Wyspiańskiego, w której zupełnie nieobecny jest Kołaczkowski, Sinko, Borowy, Makowiecki.

Zamiast syntezy znajdujemy zbiór rozpraw szczegółowych o różnej tematyce, jak np. wpływ dramatów Wyspiańskiego na *Różę* i *Oziminę*, ich polityczna instrumentalizacja w okresie międzywojennym, ich wojenne inscenizacje, opinie przeciwników Wyspiańskiego. Mnie najbardziej zainteresowały rozdziały *A ot, co z nas pozostało. Powojenne odczytania „Wesela”* i *„Wyzwolenia” 1945–1957* oraz *„Twórca państwowości polskiej i ideolog kulakosolidarystyczny” w szkole*. Niestety, w obu tych tekstach są rażące luki informacyjne. W pierwszym autorka rozwodzi się szeroko nad niezbyt fortunną rozprawą Wyki *Legenda i prawda „Wesela”*, natomiast całkowitym milczeniem pomija książkę Anieli Lempickiej *O „Weselu” Wyspiańskiego* i jej rozprawę *O fantastyce „Wesela”*. Lempicka nazwała co prawda Wyspiańskiego „zatroskanym ideologiem burżuazji”, ale cały swój wysiłek interpretacyjny skierowała na to, by pokazać, jak świetna artystycznie była wizja dramatyczna uzyskana w tej perspektywie; w szczególności zrehabilitowała skrzydło symboliczne dramatu. Pominęła Sadlik niemarksistowskie prace z tego okresu – rozprawę Stanisława Gerstmana *„Wesele” jako dramat symboliczny* („Twórczość” 1947, nr 1) i rozdział *Uwagi o „Weselu”* w książce Makowieckiego *Muzyka w dramatach Wyspiańskiego*.

Wręcz zdyskwalifikować należałoby rozdział o recepcji szkolnej Wyspiańskiego. Autorka, nie wiadomo dlaczego, pominęła całkowicie międzywojenne podręczniki historii literatury – Szyjkowskiego, Galińskiego (Stolarzewicza), Kridla, Kleinera. Nie dotarła do wskazówek metodycznych Konstantego Wojciechowskiego (w pracy zbiorowej *Wskazówki metodyczne do programu gimnazjum państwowego. Język polski*, Warszawa 1923). Nie zwróciła uwagi na wzorowe, komentowane edycje dramatów Wyspiańskiego w „Wielkiej Bibliotece” w opracowaniu Płoszewskiego i Saloniego. Z materiałów tych wynika, że Wyspiański był wówczas w szkole obecny nie tylko jako „twórca państwowości polskiej” (tak zresztą wtedy nikt Wyspiańskiego nie nazywał, to miano było zarezerwowane dla Piłsudskiego), ale jako wielki nowator dramatu. Nie przyjrzała się dokładnie wypisom z języka polskiego dla gimnazjum; znała-

złaby tam np. obszerny skrót z *Wesela* w *Mówią wieki* Balickiego i Maykowskiego, a modlitwę Konrada i *Hymn* Wyspiańskiego oraz *Na broń* Żeromskiego i *Narodziny „Wesela”* Stanisława Estreichera w podręczniku *Życie polskie* Bielaka i Bystronia.

W książce jest sporo sformułowań nieściślych i przesadnych, zwłaszcza gdy autorka omawia sytuacje z lat pięćdziesiątych; były one dostatecznie ponure i nie trzeba ich dodatkowo bezzasadnie przeczerńać. Nikt nie nazywał Wyspiańskiego ani komunistą, ani reakcyjnym imperialistą (23), nikt nie skazywał go na infamię (282; autorka chyba nie rozumie znaczenia tego wyrazu). Wręcz bezsensowne jest zdanie, że socrealizm nadał Konradowi „maskę burżuazyjnego antybohatera, obłąkańca i ideowego bankruta” (192; autorka wielokrotnie utożsamia socrealizm z marksizmem). Groteskowo brzmi sformułowanie: „znieawidzony przez establishment symbolizm” (98). Już większych zmartwień Bierut czy Berman nie mieli?

Jednocześnie z zażenowaniem czyta się bombastyczne zdania, w których autorka do absurdalnych rozmiarów wyolbrzymia rolę Wyspiańskiego jako ideologa narodowego:

Dźwięk złotego rogu usłyszała I Brygada, a euforii 1918 roku towarzyszyła wdzięczna pamięć o Proroku Wyzwolenia, zrodzona z przekonania, iż to właśnie Stanisław Wyspiański siłą swego poetyckiego słowa poprowadził naród do upragnionego zwycięstwa (65).

Profesor Bładaczka byłby zadowolony...

3.

Książka Magdaleny Rudkowskiej *Kraszewski wobec Rosji* (Narodowe Centrum Kultury, Warszawa 2009) wolna jest – jak mi się wydaje – od błędów faktograficznych², natomiast lektura jej jest trudna: wywody są często zawiłe, tłumaczą *obscura per obscuriora*, wprowadzają trudne do wypełnienia przeskokki myślowe. Oto przykłady wzięte tylko z pierwszego rozdziału:

Lektura Kraszewskiego przekonuje mnie, że nie wszyscy polscy pisarze XIX wieku wycinali pamięć o Wschodzie w podszytym lękiem geście kolonizatorów nowej świadomości kulturowej (10).

Optyczna metafora „pryzmatu” jest w moim zamierzeniu dwuznaczna. Po pierwsze, jeśli chodzi o zestawian[ie] za sprawą twórczości Kraszewskiego obrazu kultury polskiej i rosyjskiej, wywołuje efekt paralaksy, czyli niepokrywania się dwóch obrazów obserwowanych z dwu różnych kierunków (Rosji poprzez Polskę i odwrotnie). Po drugie zaś, odnosi do paru zaledwie z nieskończonej liczby re-

² Zauważyłem tylko zdanie głoszące, że Bieliński był obok Hercena uwikłany w dramatyczne sprawy wokół powstania styczniowego (51). Tymczasem Bieliński zmarł w roku 1848.

frakcji, moim zdaniem najbardziej znaczących, czy też najpilniejszych dla podjętej przez mnie lektury Kraszewskiego (14).

Przedmiotem badań komparatystyki [ogniskowej] stają się słowa „cudze” i „własne” w mowie własnej kultury. Są one przejawem – pisze o tym James F. Wertsch w książce opartej na teoriach Wysockiego [!] i Bachtina – wielogłosowego charakteru każdej kultury i jej dyskursów oraz procesów indywidualnego rozumienia, w którym daje o sobie znać „brzuchomówstwo” uwewnętrznionych socjokulturowych interlokutorów (16).

I tak jest, niestety, aż do ostatniej strony książki. Autorka przypomina tu:

W naszej tradycji narodowej Rosja jest synonimem dzikości, lecz przecież w ogóle dziki jest świat [...]. Ale dzikość oznaczać może także osobność, dziwność, złe traktowanie przez wirtuozów powszedniości. Pisarzowi udało się na tej ambiwalencji dzikości przyrodzonej i egzystencjalnie nadprzyrodzonej oprzeć pryzmatyczny model kultury własnej (274).

Dodam tu jeszcze z pierwszego rozdziału taki oto ewidentny pseudoproblem:

U Kraszewskiego bez większego trudu natknąć się można na wątki wielu późniejszych tekstów z polskiego kanonu. Wystarczy wymienić *Lalkę*, *Nad Niemnem*, *Quo vadis*, *Krzyżaków*. Pokusa, by oświadczyć, iż Kraszewski jest autorem wszystkich niemal ważniejszych powieści polskich wieku XIX, jest bodaj mniej ryzykowna, aniżeli podniesiona z całą odpowiedzialnością hipoteza, jakoby to właśnie on, Józef Ignacy Kraszewski był rzeczywiście autorem wszystkich swych powieści. Zresztą bywało sam pisarz przypuszczenie to podawał w wątpliwość, kreśląc się jako „Kraszewski”, innym razem „Bolesławita” (19–20).

Cały ten wywód w zamierzeniu autorki mający zapewne epatować czytelników – graniczy z parodią. Wiadomo przecież, że co innego być inspiratorem tematyki utworów różnych pisarzy, a co innego ich autorem. Wiadomo też, że czym innym jest autor jako psychofizyczny wytwórca tekstu, a co innego różne nieraz „obrazy autora”, ujawniające się w jego utworach. O tym uczy się chyba na zajęciach z poetyki na pierwszym roku polonistyki.

Odgadując (nie wiem, czy trafnie) sens takich i podobnych sformułowań, założenia teoretyczne książki Rudkowskiej, pretendującej pod tym względem do nowatorstwa, w ten sposób zrozumiałem: centralną kategorią jest tu dyfuzja – pojęcie zapożyczone od socjologów i kulturoznawców. Dyfuzja ma dwa oblicza – oznacza zarówno szerzenie się kultury (czy literatury) inspirującej, jak i przyswajającej aktywność kultury inspirowanej (Rudkowska ma na myśli najczęściej to drugie). W rezultacie można powiedzieć zarówno o dyfuzyjności literatury rosyjskiej wobec twórczości Kraszewskiego, jak i o dyfuzyjności twórczości Kraszewskiego wobec literatury rosyjskiej. Miejscami dyfuzja ma jeszcze inne znaczenie – odnosi się do osmozy różnych etnicznie czynników w obrębie kultury polskiej. Jak widać, jest to kategoria niesłychanie pojemna, mówiąc wprost – workowata, w której mieszczą się wszystkie relacje inter-

tekstualne o charakterze genetycznym, nie typologicznym, od przekładu do parodii. Nie wiem, czym ta uniwersalna etykieta wzbogaca i uściśla dotychczasową aparaturę pojęciową komparatystyki. Rudkowska być może uważa, że ograniczała się ona do „stematyzowanego katalogu wpływów” (22). Jeśli tak, to się gruntownie myli. Już w roku 1921 pisał Zygmunt Łempicki:

Głównym problemem nie jest fakt przyjęcia, lecz przekształcenia lub dopasowania przejętego dobra literackiego. I to jest dopiero właśnie ciekawe i odpowiednie pole dla badaczy („Pamiętnik Literacki” 1921, 19, s. 159).

W całej książce Rudkowska z naciskiem powtarza tezę, że dzieło Kraszewskiego jest wielokulturowo dyfuzyjne (16) i że trzeba też założyć dyfuzyjność kultury polskiej i rosyjskiej (135). Sugerowałoby to jakieś szczególne wyraziste nacechowanie pod tym względem czy to twórczości Kraszewskiego, czy to literatury polskiej i rosyjskiej. Tymczasem dyfuzyjność (w różnym natężeniu proporcji między ekspansywnością a receptywnością) jest niezbywalną cechą całej literatury europejskiej. Czy np. twórczość Słowackiego jest mniej dyfuzyjna niż twórczość Kraszewskiego? Czy literatura niemiecka jest mniej dyfuzyjna od polskiej?

Dalsza teza Rudkowskiej głosi, że spojrzenie Kraszewskiego jest zawsze wieloogniskowe i wieloogniskowa ma też być postulowana przez nią komparatystyka (17). Chodzi tu po prostu o to, że np. mówiąc o dziełach literatury rosyjskiej, Kraszewski niemal zawsze uruchamiał mechanizm odniesień niemiecko-francusko-rosyjskich, przeważnie zaś niemiecko-polsko-rosyjskich itp. (17). Gdzie indziej autorka pisze w tym samym chyba sensie, że operował on „układem stereometrycznym” (71). Jest przy tym przekonana o nowatorstwie swego postępowania, tymczasem postępuje zgodnie z praktyką szeroko i od dawna przez komparatystykę stosowaną, która np. omawiając *Pana Tadeusza* – uwzględniała i epikę Homera, i *Hermana i Dorotę* Goethego, i powieść Waltera Scotta, omawiając *Balladynę* – i Szekspira, i Ariosta, i folklor wschodniosłowiański.

Trzecie zjawisko eksponowane przez Rudkowską to „wrażliwość dioptryczna” pisarstwa Kraszewskiego. Tu kłopot największy – autorka wyjaśnia, że nie ma tu na myśli „percepcjonizmu” prozy Kraszewskiego, lecz jej „perspektywizm mentalny” (17), nie Arystotelesowskie patrzenie „okiem fizycznym”, lecz „Platońskie patrzenie okiem duszy”, co okazuje się w końcu subiektywną spekulacją (18). W jakim sensie taką spekulację można wiązać z ową „dioptrycznością” – to dla mnie zagadka.

Wreszcie, Rudkowska uważa, że motywy rosyjskie, stematyzowane w twórczości Kraszewskiego (np. stereotyp Rosjanina, poglądy na szczegółowe kwestie polityki rosyjskiej wobec Polski i polskiej wobec Rosji), mają podrzędną wagę problemową, znacznie niższą od warstwy motywów „implikowanych”, „wyrażanych pośrednio przy innych okazjach, często z pozoru przypadkowo (np. w związku z recepcją twórczości Hoffmanna czy problematyką «powieści dekadencej» XIX wieku)” (16). Dlaczego owe motywy ro-

syjskie stematyzowane w takich powieściach, jak *Moskal*, *My i oni*, *Zagadki*, *Na wschodzie* czy w *Rachunkach* są mało istotne – Rudkowska nie wyjaśnia. Wręcz enigmatycznie brzmi inna jej deklaracja:

Dyskusję, jałową moim zdaniem, czy Rosja w powieści polskiej jest obecna czy też nie, winno się raczej zastąpić rozważaniem konsekwencji narracyjnych, znaczeń, kumulowanych w formie opowieści pozostałych z przeżycia walki z Rosją, klęski, okupacji rosyjskiej, miejsca carskiego imperium w polskiej eschatologii (228).

Nie wiem, kto zadawał sobie pytanie, czy Rosja jest obecna w powieści polskiej, widocznie ktoś taki, kto nie czytał Orzeszkowej, Żeromskiego, Brzozowskiego. „Konsekwencje narracyjne” to sformułowanie niejasne. „Znaczenia kumulowane w formie opowieści pozostałych z przeżycia walki z Rosją” itd. to przecież to samo, co stematyzowana obecność Rosji.

Być może przeczytałem książkę Rudkowskiej zbyt pobieżnie, ale szczególnej odkrywczej wartości owych motywów implikowanych (a raczej marginalnych) dla tytułowego tematu książki autorka nigdzie *expressis verbis* nie wskazała. Pomijam fakt, że w książce tej pojawiają się tematy, w których rosyjska „implikatura” jest śladowo tylko obecna, jak choćby wątek litewski w twórczości Kraszewskiego, paralelizm sytuacji ideowej jego i Klaczki, rozbieżności w traktowaniu powstania styczniowego w powieściach Bolesławity i Epidona. Odnosi się wrażenie, że pod wspólną okładką autorka zebrała różne swoje uprzednio publikowane eseje o Kraszewskim, również i takie, które z problematyką wskazaną w tytule nic prawie nie mają wspólnego. Dlaczego np. w książce tej znalazły się obszernie rozważania o powieści *Na cmentarzu – na wulkanie* – trudno zgadnąć.

Ale jeszcze bardziej zadziwiają interpretacyjne dowolności, którymi autorka opłata ten utwór. Przykładem na to, że „obolała świadomość polska w pejzażu włoskim odnajdywała szansę, by bezpieczniej, lżej, pośrednio, powtórnie niejako doświadczyć emocji przywiezionych z kraju w postyczniowej nocy” (s. 260), jest tu hrabina Adela Żywska, którą „burza przeżyta na pizańskim cmentarzu radykalnie odmieniła i przywróciła do życia”. Ależ nieszczęścia i udręki tej bohaterki nie mają żadnego związku z sytuacją polityczną kraju! Ona sama mówi, że wiek współczesny „pełen jest zaraz i śmierci [...], ale są to cierpienia, które ścigają całą ludzkość” (*Na cmentarzu – na wulkanie*, Kraków 1970, s. 50), nie akurat Polaków. Burzą jest przerażona, wyczuwa w niej przepowiednię przyszłych nieszczęść czy karę za naruszenie spokoju umarłych (jw., s. 25). Spokój odnajduje dopiero po burzy. Gdzie? „W *comfortable* oberży angielskiej, której ściany nawet przypochebiać się starały podróżnym” (jw., s. 36). A zresztą udręki jej mijają, gdy po latach cudownym zbiegiem okoliczności odnajduje ukochanego, którego uważała za umarłego.

Nigdzie w powieści nie ma mowy o tym, by Francuzi i Anglicy uczestniczący wraz z hrabią Żywskim w wycieczce na Wezuwiusz, „chcieli, żeby Polak stworzył przed nim swoją chorą, naznaczoną klęską duszę” (jw., s. 281). Dusza

owego Polaka nie jest naznaczona żadną klęską, lecz mizantropią, a przede wszystkim obsesyjnym okrucieństwem, z jakim traktuje swą żonę, by zmusić ją do miłości i posłuszeństwa. Nie wiadomo też, dlaczego wyznania innych bohaterów uważa autorka za „niespełnione i nieudane”. Niezrozumiała jest opinia: „o gruzach i ruinach, nie malowniczych i romantycznych, lecz namacalnych i świeżych, nie sposób opowiadać w tradycyjnych manierach” (262). (Tu należy zresztą dodać, że większość bohaterów opowiada nie o „gruzach i ruinach” w swoim życiu, lecz przeciwnie – o powodzeniu, spokoju, szczęściu).

Wręcz zdumienie budzi to, co czytamy o *Duszach w niewoli*:

Bohater *Dusz w niewoli* (1877) Bolesława Prusa, literat Roman, zamierzał napisać powieść o klęsce, lecz planu swego nigdy nie zrealizował. Zbieranie materiałów stało się sztuką samą w sobie. Bo to było – tam i wówczas – nie do napisania. Mówił o tym narrator we fragmencie poświęconym czytelnickim reakcjom na opowieści o burzy. „Talent obserwacyjny” stał się wrogiem pisarza. Zbyt wiele zdań notowanych po knajpach niekoniecznie nadawało się do druku. Pisanie epiki było niebezpiecznym „wkładaniem palca między drzwi” (226).

Otóż nigdzie w tekście nie ma mowy o tym, że Roman zamierzał pisać o burzy w sensie wydarzeń powstańczych. Zbieranie materiałów stało się dla niego sztuką samą w sobie dlatego, że talentu pisarskiego nie miał. „Pisał niewiele – i robił dobrze, zrobiłby jeszcze lepiej, wzięwszy się do handlu albo do krawiectwa” (B. Prus, *Szkice i obrazki*, t. IV: *Dusze w niewoli*, Warszawa 1948, s. 45). Planowana przez niego powieść *Niewolnicy Warszawy* miała być czymś w rodzaju powieści Eugeniusza Sue czy Paula de Kocka. Zrezygnował z pisania nie dlatego, że byłoby to jakimś politycznie niebezpiecznym „wkładaniem palca między drzwi”, lecz dlatego, że w zaobserwowanej sytuacji, najzupełniej apolitycznej, która miała się stać zawiązkiem fabularnym projektowanej powieści, wyczuł „grubą awanturę”, a nie chciał narażać się na nieprzyjemności, jakie mogłyby powstać, gdyby się w nią zaangażował (w tym postanowieniu nie okazał się zresztą konsekwentny)³.

Wszystko więc w tej relacji Rudkowskiej jest konfabulacją, a do konfabulacji dołącza historycznoliterackie zmyślenie. Bo to przecież nieprawda, że w warunkach popowstaniowych „możliwa była tylko grafomania składana do szuflady, bądź przeciwnie: brnięcie w grafomanię z szaloną nadzieją, że świadomie spełniana porażka pisarza odda całą prawdę rozpadu świata rzeczywistego” (228). Pierwszemu członowi tej alternatywy zaprzeczają takie utwory, jak *Marta*, *Szkice węglem* czy opowiadania Świętochowskiego. Człon drugi to iście postmodernistyczny koncept, który nikomu wówczas nie przyszedłby do głowy, a gdyby z takim pomysłem ktoś przyszedł do Chmielowskiego czy Ochorowicza, zapewne poradziliby mu, by się popukał w czoło...

³ Wyraz „burza” pojawia się w *Duszach w niewoli* raz tylko i w zupełnie apolitycznym kontekście: narrator przyrównuje Romana do ludzi, którzy „lubią czytać opisy burz trafiające się na morzu, ale gdy zaskoczy ich rzeczywista burza, wyrzekają się pięknych widoków i szybko uciekają do domów” (*Dusze w niewoli*, s. 52).

Także inne twierdzenia Rudkowskiej są wręcz niezrozumiałe. Dla przykładu:

Hoffmann Gogolem podszyty uczył Kraszewskiego w latach powojennych, jak wywikłać się spomiędzy bieżącego nurtu powieści współczesnej, w której opis „cudownej” codzienności graniczył z apostazją, i osnutej grozą powieści historycznej (225).

Dlaczego opis codzienności musiał graniczyć z apostazją, a powieść historyczna musiała być osnuta grozą?

Inny przykład:

Kraszewski-Bolesławita, rozdarty między nadzieją na zbawczą moc cierpienia a pokusą męźnej rezygnacji ze skargi, decydował się na zdystansowany, ironiczny, diabli uśmieszek. Z lektury między innymi Turgieniewa wyniósł lekcję, że ów dystans wobec cierpienia jest źródłem wielkiej literatury. Ale to było możliwe w kulturze rosyjskiej – kulturze, którą Dostojewski obarczył poczuciem winy. Nasza kultura zdaje się w tym świetle kulturą wstydu, stłumionych i wypartych emocji. Dystans zwalnia pisarza ze współodczuwania w mistycznym rytuale krwi, pozwala natomiast wystawić przed oczy czytelnika całe ludzkie piekło, w którym ofiara ma w sobie coś z kata. Wiedział o tym, lecz nie tyle nie umiał, ile nie mógł. A być może – tego przynajmniej oczekiwali czytelnicy – nie powinien był (63–64).

Co to wszystko znaczy? Dlaczego wierze w zbawczą moc cierpienia przeciwstawiono tu męźną rezygnację ze skargi? Czy w końcu Kraszewski zdecydował się na ironiczny dystans, czy nie? Skąd wiadomo, iż sądził on, że dystans wobec cierpienia jest źródłem wielkiej literatury i że wiedzę tę zaczerpnął m.in. z Turgieniewa? Dlaczego dystans ten był możliwy w literaturze rosyjskiej dzięki temu, że jest ona obdarzona poczuciem winy? Pytania można by mnożyć – pozostawiam je uważnym czytelnikom.

W eseju *Asymilacja i wybór otwarty* nie znajduję argumentów przemawiających za wnioskiem końcowym, iż Kraszewski i Klaczko „udowodnili, że polskość w Rosyjskim Imperium mogła też być wyborem otwartym, nieostatecznym i nierozstrzygniętym” (198), ani za tym, że i „Kraszewski, i Klaczko przeżyli podobne piekło odszczepieństwa” (189). Kraszewski żadnego wyboru nie dokonywał, nie musiał się asymilować do wspólnoty ogólnopolskiej (189) – od początku do końca swej drogi literackiej był pisarzem polskim. Co innego Klaczko – ten mógł wybierać między hebrajskim, polskim, niemieckim i francuskim, ale pomijając zarzucony wcześniej hebrajski – posługiwał się tymi językami w zależności od potrzeb, co oczywiście nie miało wpływu na jego poczucie tożsamości narodowej. Inni, zaledwie zresztą dwujęzyczni pisarze byli w tym czasie nieliczni (Edmund Chojecki, Stanisław Przybyszewski). Kraszewski uważał się za Litwiną (w odróżnieniu od koroniarzy) i był zafascynowany pogańską Litwą, ale czy kolidowało to z jego poczuciem polskiej tożsamości narodowej i projektem bycia polskim pisarzem? Sytuacja Klaczki w stosunku do narodowości i kultury żydowskiej była zupełnie inna, czego chyba tłumaczyć nie trzeba. Nie wiadomo zresztą, czy i on przeżywał „piekło

odszczerpieństwa”; to tylko hipoteza, na którą bezpośrednich dowodów nie ma (autorka odrzuca ten argument w zdumiewająco pokrętny sposób: „Klaczko zdradzał się ze swym stygmatem cierpienia poprzez wyłączenie podmiotowej ekspresji tuż przed progiem werbalizacji”, 193).

Bez uzasadnień pozostawia autorka swoje kategorię sądów o genetycznych związkach w twórczości Kraszewskiego z literaturami obcymi. Przykładowo:

W przesyceniu *Szalonej* aurą pesymizmu pośredniczył też z pewnością Edouard von Hartmann ze swą teorią nieświadomego podłoża zjawisk psychofizycznych (133).

Z *Boskiej Komedii* brał się moralny, a w następstwie i rozumowy, i epicki dystans pisarza wobec zła bezpośrednio, osobiście zaznawanego (252).

Przedstawiając związki Kraszewskiego z literaturą rosyjską, Rudkowska wymienia autorów i tytuły, ale charakteryzując to oddziaływanie, poprzestaje na mglistych ogólnikach, nie precyzując, jaki one miały charakter – czy to było wierne naśladowanie, twórcze przetworzenie, aluzja, polemika... Zupełnie nie bierze przy tym pod uwagę, że w wielu wypadkach zbieżności te „nie są bynajmniej świadectwem wpływów literackich [...] Podobieństwo sytuacji społecznej i postaw ideowych wywołane jest podobieństwem typologicznym zjawisk literackich” (A.W. Lipatow, *Kraszewski a świat nowych ludzi* [w:] *Józef Ignacy Kraszewski. Twórczość i recepcja*, red. L. Ludorowski, Lublin 1995, s. 328).

Najwięcej wątpliwości wywołuje Rudkowska, gdy tropi w twórczości Kraszewskiego aluzje szekspirowskie. Stanisław August to dla niej „polski Lir”, miotany przez burzę historii, a jednocześnie polski Hamlet (117). Dlaczego Lir – bo stary i obłąkany z bólu i trwogi (113). Ale co wspólnego ma despotyczny i gwałtowny monarcha z bezsilnym i bezwolnym „protodekadentem” (jak chce autorka), manipulowanym przez carową⁴? Dlaczego polski Hamlet? Dlatego, że gdy w *Scenach sejmowych* agent ambasadora rosyjskiego naciska, by król przełamał opór sejmu, odpowiada on krótko, iż nic w tej sprawie nie może, i kończy w ten sposób rozmowę: „Dobranoc – wyciągając rękę odezwał się Stanisław – dobranoc” (J.I. Kraszewski, *Czasy kościuszkowskie*, Warszawa 1963, s. 79). W interpretacji Rudkowskiej jest to gorzka aluzja do Hamleta (*Good night, sweet prince*), a zarazem „literacki gest wewnętrznej godności i powstrzymania rozpaczony nad własną niemocą” (117). W czasach najbardziej niefrasobliwej wpływologii takich hipotez nie głoszono.

„Ślad szekspirowski” waży też – zdaniem Rudkowskiej – na powieści *Szalona*. Kraszewski bowiem początkowo chciał jej nadać tytuł *Tytania*; tak zresztą nazywają Zonię jej kijowscy adoratorzy. Zdaniem Rudkowskiej Tytania

⁴ U Kraszewskiego Stanisław August nie jest obłąkany w dosłownym znaczeniu, jak Lir. Jest tylko w swych ostatnich latach bezwolny i na wszystko zubożniały.

ze *Snu nocy letniej* szaleje za potworną istotą, zupełnie jak Zonia „szalejąca za swą ideą, za swoimi mężczyznami” (124). Zostawiając na boku zestawienie zauroczenia erotycznego szekspirowskiej Tytanii z ideowym zaangażowaniem Zoni, przypomnijmy, że znacznie bardziej niż Zonia za swoimi amantami, szaleją za nią oni, a przy tym z najszlachetniejszego z nich i najbardziej kochanego Ewarysta Dorohuba sama bohaterka rezygnuje – dla jego dobra. Rezygnuje przy tym, bardzo trzeźwo patrząc na sytuację życiową; stać ją nawet na to, by wyznać, że „kropla egoizmu jest w tym kielichu goryczy i osładza go” (J.I. Kraszewski, *Wybór pism*. Oddział III. *Powieści społeczne*. Warszawa 1886, s. 541).

Nie jestem zresztą pewien, czy nazwanie Zoni Tytanią jest w ogóle aluzją do królowej elfów z komedii Szekspira. Jeden z jej wielbicieli mówi: „To była bohaterka nasza, to była Tytania, jak ją słusznie nazywano, to była kobieta, jakiej drugiej nie ma na świecie” (jw., s. 585). Tytania więc znaczy tu może „kobieta z rodu tytanów” – zbuntowanych przeciw bogom i pokonanych? I Kraszewski być może zrezygnował z Tytanii w tytule, bo obawiał się, że czytelnicy tej aluzji nie zrozumieją, a jeśli zrozumieją, to nie zaakceptują, bo jest dla bohaterki nazbyt przychylna?

Według Rudkowskiej Zonia łączy w sobie cechy Tytanii i – jurodiwego. Argumentuje w ten sposób: „świeckie, arcyłudzkie szaleństwo i żarliwa wiara własna, na którą nie ma miejsca w kościele, jest w swojej istocie zgodna z szaleństwem, fanatyzmem religijnym” (141). Przy takim traktowaniu „istotowej zgodności” można wszystko skojarzyć ze wszystkim.

Proszę wybaczyć złośliwość, ale wszystko to wygląda mi na komparatystrykę nie tyle dyfuzyjną, ile konfuzyjną.

Książka została wyróżniona przez Narodowe Centrum Kultury w konkursie na pracę doktorską z dziedziny nauk o kulturze.

* * *

Wszystkie omawiane tu książki firmowane są nazwiskami recenzentów wydawniczych czy opiekunów naukowych. Powinienem je tutaj wymienić. Nie robię tego – powiem szczerze – z zażenowania, bo są wśród nich osoby, których wiedzę i sumienność naukową bardzo szanuję – i nie rozumiem, co się stało, jak mogły one nie dostrzec wskazanych tu usterek?

Nigdy nie należy mówić nigdy, ale kończę ten cykl moich polemicznych recenzji publikowanych w ostatnich latach. Po pierwsze dlatego, że kontynuacja ich mogłaby wywołać wrażenie, iż ułomności tu krytykowane przeważają w polonistyce literackiego średniego i młodego pokolenia. A byłoby to wrażenie fałszywe – ukazuje się przecież wiele książek rzetelnych i wnikliwych (z moich niedawnych lektur wymienilibym np. Macieja Edera *U źródeł aforystyki polskiej*, Agnieszki Friedrich *Bolesław Prus a kwestia żydowska*, Magda-

leny Popiel *Wyspiański – mitologia nowoczesnego artysty*, Jerzego Franczaka *Poszukiwanie realności*, Elżbiety Janickiej *Sztuka czy naród*, Anny Zarzyckiej *Rewolucja Szymborskiej*).

Po drugie – czasu zostało mi niewiele i szkoda go na nietrudne co prawda, ale ryzykowne wyłapywanie cudzych błędów, za które łatwo otrzymać gębę pedantycznego maniaka. Nie widać z tego przy tym pożytku. Książek już wydanych autorzy nie poprawią. Niewielu chyba ich czytelników przeczyta akurat także moje uwagi. O ile wiem, nikt z nimi nie dyskutował, ale też nikt się nimi nie zaniepokoił. Zachęcałbym jednak młodsze koleżanki i kolegów, by obok tak górnych kategorii, jak epifania, niewyraźność i nieskończoność w literaturze, uczynili przedmiotem swej refleksji także i kategorię przyziemną – a mianowicie brakoróbstwo w nauce o literaturze i jego powody.

Henryk Markiewicz

Postscriptum

Artykuł prof. Michała Pawła Markowskiego *Humanistyka i egzystencja, czyli dlaczego zajmujemy się literaturą* („Wielogłos” 2009, nr 1–2), jak wszystko, co uczony ten publikuje, daje wiele do myślenia – i do dyskusji. Choć autor, odnosząc się w nim do moich poglądów, niezbyt ściśle je referuje, nie będę dyskusji w tej sprawie podejmował, bo wyglądałoby to, że cierpię na jakąś anti-Markowską obsesję.

Chciałbym natomiast skomentować znane wyrażenie *post hoc ergo propter hoc*, które Markowski tłumaczy słowami „po, a więc przed”, tymczasem wyrażenie znaczy zupełnie co innego – „po tym, a więc wskutek tego”. W artykule Markowskiego *passus* ten jest tylko erudycyjnym ozdobnikiem i omyłka nie szkodzi wywodom autora. Ale jeśli już popisywać się erudycją, to trzeba być przy tym skrupulatnym.